



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: KOSMONAUTA UCZŁOWIECZONY

O „Czułych słówkach” zwykło się u nas dotąd pisać (film był prezentowany podczas ubiegłorocznych „Konfrontacji”) jako o komedii obyczajowej - nie pozbawionej elementów tragizmu - ukazującej złożone relacje między matką (kochającą w sposób zaborczy swe dziecko, które wychowała samotnie po wczesnej śmierci męża) a córką (dążącą do wyzwolenia się spod dominacji i czulej zaborczości matki). Więcej - matka i córka to dwa różne zupełnie charaktery, dwie odmienne postawy życiowe. Matka jest produktem amerykańskiego, dość zasobnego mieszczaństwa (stać ją nawet na „własnego” Cézanne’a, zaspokajającego jej snobistyczne aspiracje), córka to przedstawicielka współczesnej „zbuntowanej” młodzieży, przedkładająca „intelekt” nad dobra materialne. Dlatego bez wahania wychodzi za mąż za swego szkolnego kolegę, przed którym rysuje się obiecująca kariera naukowca-humanisty. Wynosi się z domu. W odległym uniwersyteckim mieście rodzi młodemu mężowi-intelektualiście kolejne dzieci, przemęcza się prowadząc bez niczyjej pomocy cały dom, bieduje, a wreszcie zapada na ciężką, nieuleczalną chorobę. W dodatku mąż zaczyna coraz chętniej spoglądać na inne kobiety...

Trąciłoby to wszystko dość łzawym melodramatem, gdyby nie umiejętnie wmontowana w taką narrację przez reżysera warstwa psychologiczna: ukazanie w przekonujący sposób głębokich więzi uczuciowych łączących mimo wszystko matkę i córkę.

Ale oto w miarę rozwoju akcji „Czułych słówek” zaczyna rozbudowywać się drugi wątek, przenosząc relacje między matką i córką na jakby trochę dalszy plan. Samotnie żyjąca w swym zasobnym domu kobieta, wciąż atrakcyjna, choć zbliżająca się już do pięćdziesiątki, zaczyna zauważać obecność również samotnego sąsiada, właściciela eleganckiego domu położonego obok. Ten człowiek to słynny kosmonauta. Jeden z tych, którzy „przecierali podniebne szlaki”, a potem postawili stopę na Księżycu. Ale cóż za rozczarowanie! Przy bliższym poznaniu „bohater Kosmosu” jawi się oczom zainteresowanej nim kobiety, jako... birbant i babiarz, zakłócający spokój całej szacownej dzielnicy pijackimi śpiewkami i pohukiwaniem z panienkami, które przywozi do domu z wielkoświatowych libacji swym eleganckim sportowym samochodem,

I to jest właśnie moment, kiedy zaczyna się na ekranie prawdziwa akcja i także prawdziwy koncert gry aktorskiej w wyłamaniu Shirley McLain i Jacka Nicholsona! Jest

wielką przyjemnością dla każdego, kto obserwuje od szeregu lat rozwój ich artystycznych osobowości i narastającą pojemność aktorskiego emploi, widzieć obok siebie tych dwoje tak bardzo odmiennych, wywodzących się z zupełnie różnych szkół i właściwie także różnych epok amerykańskiego kina, artystów - tak doskonale zgranych, tak pasujących do siebie na planie „Czułych słówek”...

Shirley McLain święciła triumfy na ekranie w drugiej połowie lat pięćdziesiątych i w latach sześćdziesiątych, kiedy to wylansowała typ „żywej jak iskra” rozbijającą miłej, przyjacielskiej dziewczyny ze sfer średnich. Grywała chętnie sekretarki, maszynistki, ekspedientki, dziewczyny z prowincji, przybyłe do wielkiego miasta i znoszące swój często niełatwy los z humorem i wyrozumiałością wobec świata i ludzi.

Trzy lata od niej młodszy, urodzony w 1937 r., Jack Nicholson był natomiast jednym z tych młodych aktorów, którzy wraz z określoną grupą reżyserów młodszego pokolenia wyznaczali zupełnie nowe drogi amerykańskiego kina walczącego o nowe środki wyrazu, a przede wszystkim o prawdziwe ukazanie „stanu umysłów” młodych obywateli Stanów Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych. Z biegiem czasu Nicholson zaczął kreowane przez siebie postacie coraz bardziej rozbudowywać w głąb. Nasycać swoistym humorem, doprawiać szczyptą autoironii lub sarkazmu. Grał ludzi skłóconych z życiem, z otaczającą rzeczywistością, ale często przy tym niepozabawionych cech zabawnych czy wręcz śmiesznych. I przez to bardziej prawdziwych.

Tak jest i w przypadku „Czułych słówek”. „Bohaterski” kosmonauta, „superczłowiek”, który stanął na Księżycu, jawi się w interpretacji Jacka Nicholsona jako osoba w istocie zmęczona i sfrustrowana faktem zobaczenia i przeżycia zbyt wiele, spojrzenia na świat ze zbyt odległej, „kosmicznej” perspektywy. Jako osoba w jakiś sposób wyalienowana ze społeczeństwa, która swoje niepokoje, swe wyobcowanie usiłuje zagłuszyć niekonwencjonalnym sposobem życia. Może dlatego właśnie coś go tak nieodparcie pociąga w stronę tej trochę śmiesznej w swej konwencjonalności, ale niewzruszonej wierzącej w sens świata, kobiety z sąsiedztwa. Kobiety, która przecież nosi w sobie de facto dusze zupełnie innego człowieka, tylko przytłumioną, stłamszoną przez konwencjonalizm warstwy społecznej, w której się urodziła. Wyzwolenie tego innego człowieka, wydobywanie go na światło dzienne jest może w sumie bardziej pociągające niż odkrywanie nowych, pozaziemskich światów...

Może także z „Czułych słówek” Brooksa należałoby wynieść wrażenie, że niekoniecznie, i nie zawsze, tylko bunt i młodość liczą się w życiu?